

przypomina o zaleceniach Leona Chwistka zawartych w jego rozważaniach nad metodami estetyki, gdzie podkreśla konieczność związku estetycznej refleksji z ciągle aktualizowaną wiedzą o współczesnej sztuce.

Z toczących się w świecie żarliwych sporów o byt sztuki i mających swe zakorzenie w historii filozofii i estetyki powstaje dwutomowa publikacja *Zmierzch estetyki – rzekomy czy autentyczny?* (1987 r.), dająca interesujący przegląd nowszych koncepcji estetycznych, z których wiele dziś wzmocniło swe znaczenie i popularność. Prócz tekstu Stefana Morawskiego: *Czy zmierzch estetyki?* książka zawiera także tłumaczenia oryginalnych tekstów omawianych autorów. Jej zawartość jest nadal atrakcyjna także ze względu na wzrost znaczenia estetyki w nurcie postmodernistycznego ujmowania kultury, co stanowi rodzaj odpowiedzi na tytułowe pytanie książki.

Pojawienie się formacji postmodernizmu, czego symptomy widoczne są w poglądach niektórych estetyków omawianych we wspomnianej publikacji, jest dla prof. Morawskiego kolejnym przedmiotem „zauroczenia”, choć nie znaczy to wcale, by go akceptował. Jak sam mówi, jest przeciwnikiem idei postmodernizmu. Czuli jednak na sygnały czasu poddaje się temu prądowi, wierząc jak sądzę, że można w nim znaleźć wyjaśnienie zachodzących kryzysowych przemian w kulturze. Poprzez liczne teksty i wystąpienia daje wyraz swej krytyce postmodernistycznych przekonań tym samym jednak ciągle pełniąc, w środowisku humanistów, funkcję „Pierwszego Informatora” o najnowszych prądach, koncepcjach, polemikach w estetyce i filozofii sztuki i pierwszego ich interpretatora. W tym sensie Profesor Morawski doszedłszy do jubileuszowej daty urodzin pozostał w środowisku estetyków w awangardzie.

Witold Kalinowski Opiekun spolegliwy

Teksty jubileuszowe w czasopismach naukowych mają często to do siebie, że autor – miast snuć refleksje o Dostojnym Jubilacie, o jego poglądach, koncepcjach i dokonaniach – wykorzystuje tę okazję jako pretekst do przedstawienia poglądów, koncepcji i dokonań własnych. Czytelnikom tego tekstu nie grozi taka manipulacja. Od pięciu lat nie zajmuję się zawodowo filozofią, od co najmniej piętnastu – estetyką. Nie potrafiłbym już nawet, pod pretekstem polemiki czy dyskusji z koncepcjami naukowymi profesora Stefana Morawskiego – zaprezentować czy zareklamować koncepcji własnych. Choćby dlatego, że ich nie mam.

Chciałbym natomiast przywołać kilka wspomnień z długiego wprawdzie, ale dawno już minionego okresu, kiedy byłem uczniem i współpracownikiem Profesora. Wspomnień o Stefanie Morawskim – nauczycielu, preceptorze intelektualnym, kierowniku warsztatu naukowego.

Z tamtego okresu najsilniej utrwaliły mi się w pamięci dwie cechy profesora Morawskiego: spolegliwość intelektualna i rzetelność zawodowa. „Spolegliwy Opiekun” – co warto przypomnieć, bo termin ten, ukuty przez Tadeusza Kotarbińskiego, nie jest już w środowisku filozofów tak modny, jak w czasach, o których piszę – to człowiek, na którym możemy polegać, na którego możemy liczyć w każdej potrzebie, a który wszakże nie jest w swej opiekuńczości natrętny. Okazuje ją tylko wtedy, gdy jej potrzebujemy i gdy sygnalizujemy tę potrzebę. Nie okazuje przy tym swojej wyższości, swojej przewagi – nawet jeżeli, obiektywnie rzecz biorąc, ta przewaga jest niewątpliwa. Pozwala „podopiecznemu” wierzyć, że do wszystkiego doszedł sam; buduje i umacnia jego wiarę we własne siły.

Postawa Stefana Morawskiego wobec studentów uczestniczących w jego seminariach w latach sześćdziesiątych mogła służyć za wzór tak określonej spolegliwości. W seminariach tych, jak zawsze, brali udział różni ludzie: niektórzy obryci w lekturach, i z tego powodu (choć czasem bez powodu) chętnie zabierający głos; ale i tacy, którym przyrodzona nieśmiałość, brak głębszych przemyśleń czy po prostu nieznajomość „zadanych” lektur kazały siedzieć cicho. Seminaria uniwersyteckie mają wszakże swoje rygory: kończą się zaliczeniem i wpisem do indeksu, a to obliuguje prowadzącego do elementarnej przynajmniej kontroli, co studenci mają w głowach. Morawski, jak wszyscy szefowie seminariów, próbował więc od czasu do czasu ciągnąć za język najbardziej nawet uporczywych milczków. I wyciągał z nich prawdziwe popisy filozoficznej elokwencji, erudycji, pomysłowości, wyobraźni. No, może niezupełnie z NICH.

Wyglądało to mniej więcej tak. Student, spytany np. o estetyczne zastosowania twierdzeń psychologii postaci, daremnie szuka w pamięci jakichś użytecznych skojarzeń. „Postać, *Gestalt*” – podsuwa przyjaźnie Profesor, jakby licząc na to, że oryginalny niemiecki termin uruchomi w umyśle studenta zawartą tam wiedzę. Ale student w ogóle nie zna niemieckiego, zaś słowo „postać” z niczym mu się nie kojarzy. Rzuca więc jakąś bzdurę.

Właściwie należałoby wyrzucić bałwana za drzwi. Ale Morawski reagował zupełnie inaczej. „Więc według pana Tak, to bardzo ciekawa koncepcja. Chociaż nie całkiem oryginalna. Podobnie ujmują ten problem ...” – tu następował długi szereg nazwisk autorów z bliższej i dalszej przeszłości, a potem półgodzinny wykład na temat ich koncepcji teoretycznych, nie mających, rzecz jasna, nic wspólnego z żartem, na jaki pozwolił sobie student.

Takie postępowanie nie wszystkim się podobało. Złośliwcy i ludzie nieprzychylni Profesorowi (chciałoby się rzec: nie spolegliwi wobec niego) oceniali te improwizowane *ad hoc* wykłady jako przejaw specyficznej słabości: jako

nieumiejętność zapanowania nad własną wiedzą, jako nadmierną skłonność do kojarzenia wszystkiego ze wszystkim i wplatania każdego usłyszanego lub przeczytanego słowa w naukowe teorematy. Morawski istotnie ma niezwykle dar, niezwykle łatwość egzegezy, która w połączeniu z nadzwyczaj pojemną pamięcią przynosi konstrukty teoretyczne, zdumiewające wciąż nawet jego najbliższych współpracowników. Nie nazwałbym tego jednak słabością. Przeciwnie, jest to siła Stefana Morawskiego – jednego z niewielu dziś w świecie obserwatorów rzeczywistości kulturalnej, którzy potrafią wszystkie jej, tak różnorodne i zmienne fenomeny szybko zinterpretować i umieścić je w pewnym porządku intelektualnym.

Dla mnie wszakże istotniejsza była wtedy – i jest nadal – inna zaleta takiej postawy. Budując systematyczne, zwarte wykłady wokół strzępów myśli (a czasem nawet pełnych bredni) wypowiedianych przez studentów, Morawski zbliżał się do ideału dydaktyki. Celem pracy nauczyciela nie jest przecież zgębienie i poniżenie ucznia. Jest nim przekazanie jak najszerszej i jak najlepiej usystematyzowanej wiedzy – i każdy pretekst jest do tego dobry. Stefanowi Morawskiemu zawsze starczało poczucia humoru, by przechodzić do porządku dziennego – a raczej do porządku własnych myśli – nad bzdurami wypowiedzianymi przez studentów. Zapewne lepsza byłaby metoda sokratejska: prowokowanie ucznia, by przedstawił SWÓJ porządek myślowy, by skomponował go z elementów SWOJEJ wiedzy. To jednak nie zawsze jest możliwe.

Przypadek sprawił, że nigdy nie zdawałem u profesora Morawskiego egzaminu (z wyjątkiem egzaminu magisterskiego – ale ten był w owych czasach, a pewnie jest i dzisiaj, czystą formalnością). Podejrzewam jednak, że styl tych egzaminów był podobny do stylu seminaryjnych interwencji Profesora. Że – kiedy student gubił się beznadziejnie na pustyni własnej niewiedzy – Morawski, wykorzystując choćby jedno rzucone słowo, wykorzystywał je jako pretekst do wykładu, przekraczającego znacznie formą i treścią odpowiedź, jakiej mógłby udzielić student, nawet sumienny, mądry i dobrze przygotowany. Po czym zapewne następował sakramentalny komentarz: „Tak, bardzo ciekawa koncepcja ... Ale ma pan luki, nie mogę postawić więcej niż czwórke”. Myślę, że z tak prowadzonych seminariów i egzaminów student, nawet niedouczony (ale kto w końcu ośmielił się twierdzić, że jest już „douczony”?) – wynosił znacznie więcej niż z suchego, rygorystycznego przepytывania.

Drugą cechą Stefana Morawskiego, o której tu wspominałem – rzetelność profesjonalną – mogłem poznać w okolicznościach szczególnych, krytycznych: w marcu 1968 roku. Rok wcześniej Morawski podjął starania o utworzenie w IFiS PAN zakładu estetyki. Wielu jego utytułowanych kolegów miało już takie zakłady; wielu – nie twierdzę, że wszyscy, były wyjątki – traktowało je jako wygodną synekurę, uzupełniającą skromny budżet profesora uniwersytetu, nie dbając zbyt o rozwój uprawianej pod szyldem PAN działki naukowej.

Morawski także tutaj postąpił nietypowo. Nie zaczął (choć miał takie możliwości) od „załatwienia” sobie etatu w IFiS. Najpierw przygotował obszerny, kompleksowy i długofalowy program działania zakładu estetyki, potem starannie dobierał, spośród swoich dotychczasowych współpracowników i uczniów, kandydatów do pracy w zakładzie – do realizacji przedstawionego programu badawczego. Na początku 1968 r. zakład był już skompletowany: zatrudnieni byli wszyscy jego pracownicy. Zwieńczeniem tych działań miało być zatrudnienie kierownika zakładu, profesora Stefana Morawskiego. Od 1 kwietnia...

Morawski nie był oczywiście jasnowiedzem, nie mógł przewidywać haniebnych wydarzeń marcowych – i absurdem byłoby twierdzić, że tylko z tego powodu tak konstruował zespół, by mógł on, nawet bez obecności inicjatora i założyciela, funkcjonować sprawnie i użytecznie dla polskiej myśli estetycznej. A jednak tak go właśnie skonstruował, mając najwyraźniej na względzie inne wartości niż korzyści osobiste. Zespół, w którym się wtedy znalazłem, nie był zespołem „krewnych i znajomych królika”, ani produktem negatywnej selekcji, mającym – przez swą marność – eksponować wielkość i wspaniałość szefa. Składał się z silnych indywidualności, z ludzi dobrze przygotowanych do zawodu, sprawnych intelektualnie a nawet „dobrze się zapowiadających” (inna sprawa, co z tego później wynikło), a jednocześnie dysponujących poważnym już doświadczeniem w pracy naukowej i edytorskiej. Procentowało to przez lata w pracy Zakładu Estetyki IFiS PAN – choć profesor Stefan Morawski nigdy już nie został jego kierownikiem.

Ktoś mógłby powiedzieć, że opisana tu historia stanowi dość wąty argument, niedostatecznie uzasadniający moją ocenę Profesora jako człowieka wyróżniającego się szczególną rzetelnością zawodową. Pozostanę jednak przy swojej opinii, choć wiem (i zgadzam się), że takim poziomem rzetelności zawodowej powinien odznaczać się KAŻDY pracownik nauki.

No właśnie, powinien.

Lech Witkowski
Wokół debaty postmodernistycznej
(prośba do Stefana Morawskiego: zamiast pochwał i polemik)

Postaci tej rangi intelektualnej i takiej osobowości (wręcz osobistości), w polskiej humanistyce tak wyjątkowej jak Stefan Morawski, nie wypada prawić komplementów i pochwał, żeby nie zabrzmiały trywialnie i podejrzenie dla ich autora. Nie chciałbym też przy tej okazji toczyć z Profesorem sporów i polemik. Kilka sposobności ku temu już było, a poza tym badacz, legitymujący